

Szaflarska, jak tak można?

Ktoś mi kiedyś wywróżył z kroju pisma: zmienność uczuciowa, zły materiał na żonę, zdolności artystyczne. Czarno na białym



KAROLINA SULEJ

Spotkałyśmy się w restauracji Kamienne Schodki na Starym Mieście. Bardzo ją lubiła, jest niedaleko jej domu. Wtedy miałyśmy właściwie całe miejsce dla siebie. Siedziałyśmy wiele godzin, rozmawiając nie tylko o Niej.

Na swoim dyktafonie zapisałam też wiele własnych wyznań, które komentowała mądrze i z dowcipem.

Cieszę się, że mogłyśmy spędzić te godziny przy wystygniętej herbacie. Dwie dziewczyny rozmawiające o życiu.

KAROLINA SULEJ: Nie chcę z panią rozmawiać o starości. Czytałam wycinki prasowe z wywiadami z panią i zauważyłam, że od lat 70. właściwie w każdej rozmowie padają pytania o jesień życia.

DANUTA SZAFLARSKA*: Tak, wciąż mnie pytają, jak pogodnie przeżyć starość, jaka jest moja recepta na długowieczność, jaki jest sekret wiecznej młodości. Mam już serdecznie dość tych samych pytań zadawanych w kółko. Te pytania zaczyna się kierować do kobiet zwykle po przekroczeniu sześćdziesiątki. To jednak złudna granica. Człowiek starzeje się tylko wtedy, kiedy tak czuje. Ja nie czuję się staro. Można to nazwać wtórnym zdziecinieniem. Ale po prawdzie, dzieciństwo nigdy ze mnie nie odeszło. Może tak jest wtedy, kiedy to dzieciństwo było piękne.

Tak by pani określiła swoje?

- Dorastałam w niewielkiej, dzikiej wsi zwanej Kosarzyska, pod Piwniczną, u stóp gór. Wokoło lasy. To było zaledwie kilka chałup, niektóre jeszcze kurne. Moi rodzice byli nauczycielami, więc mieszkaliśmy w pokojach przy szkole. Dwie izby, kuchnia, sień, piwnica, zabudowania gospodarcze: stajnia, stodoła, wozownia i chlewik. Chowałam się w gospodarstwie. Biegałam brudną za plugami i zbierałam pędraki, które niszczą kartofle. Z tych pędraków potem są majowe chrząszcze. Nie brzydziłam się robaków. Tylko pajaków się bałam. Bardzo lubiłam za to zaskrońce. Polowanie na zaskrońce wylegujące się na słońcu było jedną z moich ulubionych zabaw. W domu najczęściej tylko jadłam i spałam, rodzice pozwalali mi cały dzień biegać po okolicy i robić, co mi się żywnie podobało.

Jak się łapie zaskrońce?

- Nauczyłam się tego od kota. On najpierw kładzie się w pobliżu miejsca, gdzie ukryły się myszy. Udaje, że jest obojętny, myszy niby nie zauważa. Skacze dopiero, jak te poczują się pewniej. Ja wiedziałam, gdzie mieszkają zaskrońce, znalazłam ich zwyczajnie. Wygrzewają się na kamieniach, przy strumieniach. Siadłam więc w pobliżu miejsca, gdzie się jeden opalał. W końcu wystawił łepkę ze swojej kryjówki i długo się roz-

glądał. Potem wyszedł i położył się w swoim ulubionym miejscu, ale nie przestawał być czujny. Po jakimś czasie się rozluźnił. Wtedy zrobiłam skok i złapałam go. Kiedy już się nacieszyłam wygraną, puszczałam go wolno.

Pamięta pani inne zabawy?

- Uwielbiałam naśladować czyjeś gesty, sposób poruszania się. Na przykład pamiętam porucznika Forsysa, który wpadał do nas, kiedy w okolicy były manewry. On tak śmiesznie chodził. Wszyscy pękali ze śmiechu, kiedy go naśladowałam. Ale jak przychodzili goście i mama chciała, żebym się swoimi zdolnościami komicznymi popisывała na żądanie, to ja nie chciałam. Dzieci, które zgadzają się popisывać na żądanie rodziców - z nich aktorów nie będzie. Przecież ja miałam ochotę.

W Kosarzyskach robiliśmy też przedstawienia teatralne, w naszej wozowni. Przedstawiało się głównie to, co widzieliśmy w kościele. Najchętniej graliśmy msze, chrzciny, śluby. Ręcznik się brało, żeby był za welon. Wtedy poznałam moją przyjaciółkę na całe życie, Julkę Penderecką ze Świniorek. Pamiętam, jak potem odwieźliśmy ją zaraz po odebraniu dyplomu ze szkoły aktorskiej. Szłam przez wieś cała wystrojona - w kapeluszu, na obcasach, w pełnym makijażu. Ona podlatuje do mnie uszczęśliwiona i wykrzykuje: „Cosik mi się widzi, że kumedianka”.

Bawiłam się z dziećmi wiejskimi, ale często byłam również sama i czułam się z tym bardzo dobrze. Chodziłam po lesie i wyobrażałam sobie, że opowiada mi, co tu się kiedyś działo, ballady o rycerzach i zbójach. Wyobrażałam sobie, że kiedy siadę nad potokiem i opowiem mu jakieś historie, to on je potem zaniesie do morza. Pamiętam, że lubiłam kłaść się na łące na brzuchu i obserwować, co się dzieje w trawie. Jak ona dźwięczy, pachnie, szemra. Przypominam sobie kwiaty. Na wiosnę były zawilce, stokrotki, fioleczki, pierwiosnki, kaczeńce, całe bukiety się rwało. A jak nadchodził czerwiec, to były storczyki, białe i różowe. Kiedyś przy ich zbieraniu skoczyła na mnie żmija. Zdażyłam uciec wzdłuż owsa. Weszła w łąkę, bo czuła, że tam ciepło. Myślałam wtedy, że słońce jest Bogiem.

Książd w kościele mówił jakieś nieciekawe i okropne rzeczy o piekle i diabłach. Ale lubiłam wyprawy na msze, bo potem szło się do znajomych na kawę, kanapki i plotki. Tylko niewygodnie chodzić było, bo trzeba było buty włożyć. A na co dzień wszyscy biegali na bosaka.

Pamiętam też, że kiedy miałam osiem lat, przeczytałam cztery tomy atlasu geograficznego. Ludożercy fascynowali mnie najbardziej. Wtedy pomyślałam, że chciałabym podróżo-



W 1956 r. Danuta Szaflarska zagrała Podstolinę w ekranizacji „Zemsty”





Po „Skarbie” (1948) władza ludowa orzekła, że nie pasuje do chłoporobotniczego emploi

wać. W ogóle czytałam wszystko, co się dało.

Sielanka się skończyła, kiedy tata zmarł na ślepą kiszkę. Miałam dziewięć lat. W następnym roku nie chodziłam do szkoły - mieliśmy w Kosarzyskach epidemię tyfusu. Wszy u nas od zawsze po wszystkim i wszystkich chodzili. W kolejnym roku prze-

prowadziliśmy się do Nowego Sącza, do miasta, do kamienicy.

To musiał być ogromny szok.

- Bardzo cierpiałam. Nie miałam swojego lasu, łąk, pola. Nie chciałam iść do gimnazjum. Tęskniłam do wolności, którą miałam do tej pory. Tylko jedno było dobre - poręcz, po której się zjeżdżało na sam dół z drugiego piętra.

Jaka była szkoła w Sączu?

- To było płatne, prywatne gimnazjum matematyczno-przyrodnicze dla dziewcząt. Znalazłam niedawno odpis swojego świadectwa - miałam same dostateczne. Nie dlatego, że byłam cymbał. Dlatego że się w tej szkole czasem uczyć odechciewało. Na przykład geograf pytał nas: „To miasto z czego jest słynne?”. Nikt z nas nie mógł trafić w dobrą odpowiedź. A odpowiedź brzmiała: „Że ja tam byłem”. Polonistka z kolei przez dwa lata męczyła „Trylogię” Sienkiewicza, nie poznawało się innej literatury. Jako pracę domową zadawała nam tak zwane dyspozycje, czyli polecała czytać fragmenty, a potem pisać, czego one dotyczą. Ale mieliśmy świetne nauki ściśle i języki na wysokim poziomie.

Bardzo lubiłam swoją nauczycielkę od niemieckiego Einhornową, miała ogromną klasę. Powtarzała mi, że muszę się uczyć, bo będę aktorką.

Jak musiała wyglądać uczennica?

- Mundurki zimowe były granatowe z granatowym kołnierzem. Letnie były białe z granatowym kołnierzem. Do tego plisowana spódnica, pończochy fildekos i beret na głowie. Pamiętam, jak mnie do dyrekcji wzywano, że noszę beret za bardzo na bakier. To ja sobie założyłam specjalnie tak, żeby uszy śmiesznie wystawały, i dali mi spokój. Albo nauczycielka spytała mnie pewnego razu: „Szafarska, ty ciągle zmieniasz rozdziały włosów. Jak tak można?”. Ja odpowiedziałam bez mrugnienia okiem: „Ale moja mama twierdzi, że tak jest zdrowo dla cebulek”.

A co po szkole?

- Kajak w lecie. W zimie codziennie łyżwy. Ale te poszły w odstawkę, kiedy zaczęłam jeździć na nartach. Trzy kilometry szłam polami spod domu na stok i zjeżdżałam. Podechodziło się albo na jodelkę, albo zakosami - trzeba było przerzucać narty tak szpagatowo. Smary się dało, potem na górze się to zmywało.

Chciała pani zostać narciarką?

- Kiedy miałam 12 lat, zobaczyłam Zbyszka Cyganiewicza, który był słynnym silaczem, i też zapragnęłam jak on dźwigać ciężary. Podnosiłam kamienie w rękach. W ogóle dziewczynskie zajęcia mnie nudziły. Chciałam wtedy być chłopakiem.

Odkąd pamiętam, trzymałam się zawsze z chłopcami, dopuszczali mnie do siebie jako jedyną dziewczynę. Na podwórku miałam piłkę do kopania, no to byłam ważna. Kopaliśmy razem, a potem chłopcy mnie uczyli tańczyć tango. Wszystkie inne tańce dawno już umiałam - walca, polkę. Na-

uczyłam się w Kosarzyskach na weselach. W Sączu nie mogliśmy chodzić na zabawy. Rodzice urządzali nam tylko potańcówki w domu. Patefon, płyty. Siadali sobie i obserwowali z dala. Wtedy można było kolegów zaprosić.

Co się wtedy jadło?

- Uwielbiałam cyr, czyli ziarna pszenicy mielone na żarnach. To było jak kasza manna, tylko brązowe, ciemne i gotowało się to jak kaszę, na taką gęstą masę. Do tego podawano mleko, mogło być zsiadłe. Były też kluski ziemniaczane. Ale to nie były pyzy takie jak dziś, z gotowanych kartofli. Tamtymi można było sobie wybić oko. Ucie-rało się surowe ziemniaki, przecedzało się przez szmatkę po pewnym czasie. Co spłynęło, to się mieszało z mąką kartoflaną i zagniatano z masą ziemniaczaną. Jak się tak lubiło, można to było jeść ze skwarkami. Była również zupa fasolowa.

Składały się na nią: fasola jaś i wędzone śliwki węgierki. Jednocześnie gotuje się jasia i lekko posłodzone śliwki. Potem zlewa się to razem. Robi się z tego pełen wachlarz smaków - słony, słodki, kwaśny. Do tego może być zasmażka. Smaczne były też gołąbki z ryżem, czyli cholupcie, i tak zwana studzienina, czyli nóżki w galarecie.

A słodczyce?

- Moja mama uwielbiała torty, przyrządzała ich co najmniej kilkanaście rodzajów. Szczególnym wzięciem cieszył się tort Fedora. Składał się z dwóch mas, czekoladowej i migdałowej, a całość polana jeszcze lukrem czekoladowym. Smakuje trochę jak marcepan.

W święta zawsze były cztery torty czekoladowe, piernik, keks, sernik. Torty były też w niedzielę. Niedziela była dniem deseru. Kiedy już mieszkaliśmy w Sączu, mama kupowała kilo cukierków na miesiąc i dostawaliśmy po jednym dziennie. Jedliśmy też pomarańcze, ale zawsze jedną na kilka osób. Marzyłam o tym, żeby zjeść całą pomarańczę, tak żeby aż sok mi ściekał po brodzie. I zdarzyło się to dopiero, kiedy byłam na studiach w Krakowie. Zanim poszłam do szkoły aktorskiej, studiowałam ekonomię na Wyższej Szkole Handlowej. Pojechaliśmy w ferie na narty do Zwardonia. Byliśmy akurat na granicy, kiedy dowiedzieliśmy się, że zaraz za nią, na Słowacji, sprzedają pomarańcze. Trzeba było ją przekroczyć nielegalnie, wieczorem. Przekradliśmy się więc, kupiliśmy kilo pomarańczy i uciekliśmy straży przygranicznej. Oni mieli tylko rakiety, a my szusowaliśmy na nartach.

Opowiadając o pracy nad „Zakazanymi piosenkami”, przyznała pani, że jednym z piękniejszych momentów podczas dni zdjęciowych był ten, kiedy dostała pani jajecznicę.

Niespełnione marzenie?

- Tylko dwa: koń na biegunach w dzieciństwie oraz rower w młodości

- Ze skwarkami. Cierpieliśmy straszny głód. Po powstaniu zostałam sama, tylko z dzieckiem i matką. Mąż mnie zostawił, nie mogliśmy się dogadać, on widział we mnie gospodynię domową, a chciałam grać. Nie miałam za co żyć. Na szczęście dostałam angaż w Krakowie, w Starym Teatrze, więc wyjechałam z Warszawy. Miałam kąt u cioci.

Krakowianie nas wtedy nie znosili. Obawiali się, że zrobimy w Krakowie drugie powstanie. Oskarżali nas też, że na nich zarabiamy. Pamiętam, że pewna hrabianka z mężem z biedy handlowali w Sukiennicach w zimie. On miał butelkę wódki i kieliszek, ona kanapeczki. Ile się musieli nasłuchać o swojej pazerności. Pamiętam także, jak spotkałam panią, która handlowała kajmakami. Prawie się popłakałam. Bo kajmaki były tylko w Warszawie. Powiedziałam jej, że niestety nie kupię, nie mam pieniędzy, też ze stolicy przyszedłam.

Na cały dzień pracy w teatrze kupowałam ćwiartkę chleba. I tak sobie skubałam za tymi kulislami. Tadzio Łomnicki, który grał tam ze mną, żartował: „Daj kawalek, będę cię za to wachlował”. A miał wtedy wielbiciela, zakochanego w nim na zabój, który obiecywał, że dla niego zrobi wszystko. Łomnicki przed nim zwiawał. Wpadł jednak na pomysł, jak wykorzystać jego miłość dla naszego wspólnego dobra. Pouczył mnie więc: jak przyjdzie i przyniesie dla mnie czekoladki, to ty weź, się potem podzielimy. Tak zrobiliśmy. **Leonard Buczkowski zatrudnił panią w „Zakazanych piosenkach” i zabrał z powrotem do Warszawy, bo zobaczył panią w roli Roxy w amerykańskiej farsie.**

- Kompletnie mi ta rola nie wychodziła. Aż zaczęłam rzucać kurwami. I nagle na próbie generalnej przypomniałam sobie, jak jeszcze w teatrze w Wilnie grałam małą Hesię Dulska i reży-

serka „Moralności” Stanisława Perzanowska dała mi złotą radę, żeby grać wszystkie jej idiotyzmy ze śmiertelną powagą. Roxy więc także mówiła wszystkie te swoje głupotki w stylu: „Nie ma co płakać nad rozlanym dzbanem wina i tak było w nim dużo wody”, ze strasznie poważnym wyrazem twarzy.

Jak grało się w Wilnie?

- Ciężko i ekscytująco zarazem. Dwa lata tam spędziłam, wojenne, w Teatrze na Pohulance. We wrześniu 1939 zaczęliśmy, w sierpniu 1941 wróciliśmy do Warszawy. Nie było czasu na próby, najwyższe dziesięć dni, nierzadko musieliśmy improwizować. Pamiętam, jak reżyser tłumaczył mi: „Nie ma czasu, żeby zrobić rolę, ale pani musi tak wejść, żeby publiczność się zainteresowała, i tak zejść, żeby zapamiętała”. To była prawdziwa aktorska szkoła.

Pamiętam też, jak tam nabrałam pewności siebie. Grałam wtedy z Janem Kurnakowiczem, wielkim aktorem. On mówi kwestię i ma brawa, ja mówię i mam brawa. On mówi i brawa, i już natychmiast mówi następną, żebym ja tylko nie miała braw.

Gówniara po szkole ma mieć takie brawa, jak on? Więc ja szybko zastosowałam ten sam chwyt i go załatwiłam. Nabral do mnie szacunku i pozwolił mi mieć brawa.

Do szkoły aktorskiej dostała się pani fuksem.

- Śmieję się, że byłam wtedy takim nowosądeckim wypłoszem. Na egzamin pojechałam z namową kolegów z Sącza, gdzie musiałam wrócić z Krakowa, bo w środku moich studiów zachorowałam na tyfus. Wyzdrowiałam, spakowałam walizkę i pojawiłam się w Warszawie, którą z miejsca pokochałam.

W ogóle nie miałam jednak wtedy pojęcia o teatrze. A tu łoża samych sław - Schiller, Wysocka, Zelwerowicz. Pytali mnie o „Redutę” Osterwy, a ja ledwo kojarzyłam „Redutę Ordo-na”. Nie pomogło nawet to, że recytowałam fragmenty „Janka Muzykanta”, żeby ich wzruszyć. Aleksander Zelwerowicz, czyli dyrektor, tak się wkurzył, że aż mnie wyrzucił za drzwi. Już na korytarzu kazał mi iść do biblioteki i poczytać o historii teatru. Ale mnie przyjął. Chociaż jeszcze potem robił uwagi, że mam „za małe oczy” na aktorkę.

Ale tak się wkurzyłam, kiedy to usłyszałam, że chyba pogodził się z myślą, że mam odpowiedni charakter do zawodu.

Wróćmy do lat zaraz po szkole. Jest 1941 rok. Jdzie pani z Wilna do Warszawy.

- Wracam zaręczona. Mój pierwszy mąż Jan Ekier przyszedł do mnie do Wilna z obrączkami. Byłam pod wrażeniem, że szedł do mnie z Warszawy aż sześć dni. Podziwiałam też jego talent pianistyczny. Grał przepięknie.

Nie miałam w Wilnie nic do roboty, chciałam wrócić do stolicy, więc zgodziłam się zostać jego żoną. Zastanawialiśmy się, jak wrócić. Szliśmy 30 kilometrów. Po drodze mijaliśmy spalone wsie, gdzie tylko kominy zostały, trupy jeszcze niepochoowane, rozbite wozy, wraki samolotów, pobojuwiska.

Nareszcie zajechał nam drogę niemiecki samochód. To były trzy wozy z żołnierzami spod Leningradu, zabrali nas ze sobą. Przeklinali Hitlera strasznie. Na granicy Guberni stał już jednak esesman. Nie chciał nas wpuścić. Wyskoczyłam z szoferki, wzięłam się pod boki i do niego: „Warum zurück? Ich bin Schauspielerin. Dwa lata byłam w bolszewickim piekle. Wy tam teraz jesteście i tu już też, to czemu nie mogę wrócić do Warszawy?”.

Machnął ręką i powiedział po polsku: „Proszę bardzo”.

W Warszawie zaangażowała się pani w teatr konspiracyjny.

- To był Teatr Frontowy Armii Krajowej prowadzony przez Józefa Wyszomirskiego. Graliśmy dla partyzantek. To była zupełna prowizorka. Scenografię wieszano na drzewach. Ja miałam spódnice ze story, korale i to miało być średniowiecze. Potem przyszło powstanie.

Na Mokotowskiej otworzyli BIP, czyli Biuro Informacji Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej AK. Przyszli tam artyści i pytali, co mają robić. Czy organizować koncerty? Jak i gdzie? Zostałam wyznaczona do zawiadamiania o wydarzeniach kulturalnych. Biegałam to do Fogga, to do Zimińskiej. Hulalałam po całym mieście. We wrześniu skończyły się kon-

Dokończenie na s. 12 ►►►

KAZIMIERZ WAJRYŃSKI/POLFILM/EAST NEWS

MARK FRANKFURT/POLFILM/EAST NEWS

certy. Ale wtedy kogoś przeprowadzałam, bo znałam się na topografii miasta, albo zdobywaliśmy żywność.

Miała pani trochę niebezpiecznych sytuacji w czasie powstania.

- Poznałam śpiew kul. One tak gwizdzą: fiuuu, fiuuuu, kiedy przelatują koło ucha. Pewnie mówią: lecę dalej. Jak się chodziło Marszałkowską, Poznańską, stale szły pociski. Do tego można się przyzwyczaić. Raz jednak omal nie trafił we mnie tak zwany gołębiarz - snajper siedzący na dachu. Innym razem uniknęłam bomby, bo się w porę scho- wałam do piwnicy.

Musiałam też chronić moją małą córkę, która kiedy zaczęło się powstanie, miała zaledwie roczek, a jeszcze na do- datek zapadła wtedy na dyzenterię. Uratowałam ją siłą wo- li i półtora litra herbaty wymieszanej z lekarstwem. Mu- siałam też pilnować, żeby przykrywać ją mokrą szmatką. Szaro było od pyłu.

W jakich ubraniach pani chodziła?

- Miałam spódnice ze spodni mojego brata, białą koszulę z kołnierzykiem, marynarkę. Chodziłam też w płaszczu, cudem zdobytych sukienkach, kolorowej chustce na głó- wie i czapeczce z antenką. Grałam potem w nich w „Zaka- zanych piosenkach”. Wszyscy zresztą grali w swoich ciu- chach. Wynagrodzenie to zaś były marne grosze. Produ- cent powiedział: jak pani chwyci, będzie pani dyktować wa- runki.

Potem, kiedy okazało się, że film jest popularny, zło- śliwcy szeptali, że specjalnie chodzę w kostiumie filmo- wym po ulicy, żeby pokazać, że to ja jestem tą słynną Ha- linką.

Po sukcesie filmu stała się pani pierwszą powojenną gwiazdą.

- Proponowali mi potem ogromne pieniądze. Chcieli mnie do „Ostatniego etapu”. Podpisałam umowę za pierw- szy scenariusz, ale cenzura nie puściła. Przez ten czas umo- wa się skończyła, a film zyskał nowy kształt. A ja nie chcia- łam grać komunistki. Proponowali 25 tysięcy złotych dzien- nie. Najwyższa pensja w Starym Teatrze to było sześć ty- sięcy miesięcznie! Próbowali szantażować: „Czy pani już więcej nie chce grać w filmie?”.

Wanda Jakubowska podobno poszła do ministerstwa i powiedziała, że jestem wróg komunizmu numer jeden. A oni mieli powiedzieć: „Nie szkodzi”. Dowiedziałam się tego przez przypadek, bo córka leśniczego z Kosarzysk by- ła żoną jednego z dygnitarzy.

Ma pani mało zdjęć jak na gwiazdę, aktorkę od dziesięcio- leci. Podobno nie lubi się pani fotografować.

- Dlatego że taka pozowana fotografia jest nienatural- na. Jeżeli mnie fotografują, jak gadam, w ruchu, to proszę bardzo. Ale żeby mnie ustawiać, bez sensu.

Podoba się pani sobie na zdjęciach?

- Na niektórych tak, inne są okropne.

Podoba się pani sobie w ogóle?

- Wie pani, filmy to jest straszna rzecz. Jak oglądałam pierwszy raz „Zakazane piosenki”, to pociłam się i włosy rwałam z głowy. Siedziałam w łoży, premiera, łoża cała w kwiatkach, pompa na sto fajerek, a ja płonę ze wstydu.

Buczkowski nie pozwalał mi oglądać żadnych materia- łów wcześniej. Argumentował: „Pani nigdy nie grała w fil- mie, obawiam się, że jak coś pani zobaczy, to nie będzie chciała inaczej grać”. Dopiero na premierze zobaczyłam swoje miny. Grałam jak w teatrze. W kinie wypadło to ka- rykaturalnie. Teraz wiem, że w filmie czasem wystarczy tylko spojrzeć. Dostałam lekcję, jak nie należy grać.

I nie lubi pani tego filmu?

- Lubię. To moje wspomnienia. Moje piosenki. To jest prawdziwy film. Powstał dokładnie rok po wojnie, w ma- ju 1946. Powstanie było dla nas ważne, wciąż się w nas działo. Nie powróciliśmy do normalności. Powojenna Warszawa była miastem pięknym, ale tragicznym.

Kilka lat później jednak zamieszkała pani w Łodzi, żeby grać w teatrze Erwina Axera. Po „Zakazanych piosenkach” przyszedł popularny „Skarb”, gdzie też partnerował pani Jerzy Duszyński, ale potem władza ludowa orzekła, że nie nadajecie się do obowiązującego chłoporobotniczego em- ploi.

- Nie zmartwiałam się tym. Teatr był dla mnie najwa- żniejszy. Zamieszkałam w łódzkim Grand Hotelu, w kory- tarzach służbowych, żadne luksusy. Łóżko, radio na stoli- ku z krzesłem, ubikacja na korytarzu. Dopiero później ów- czesny minister kultury, Sokorski, załatwił dla wszystkich mieszkania.

W 1959 roku dostałam przydział w Warszawie, na Ma- dalińskiego, dwupokojowe. To było, jeszcze zanim wyszłam za mąż po raz drugi, za Janusza Kilańskiego. Nasze mał- żeństwo jednak również nie przetrwało. Kolejny mąż miał problem z tym, że mam własne zdanie i nikogo o pozwo- lenie nie pytam.

Przyznała pani, że nie znosi gospodarzyć.

- Lubię pracować, nienawidzę prasować, odkurzać, nie prze- padam za gotowaniem. Teraz na szczęście są gotowe rze- czy, więc kombinuję i nie przejmuję się wiele jedzeniem. Panuje u mnie nieustający bałagan, tylko wtedy wiem, gdzie

co mam. Jedynie z papierami mam kłopot. Jak szukam, to się strasznie denerwuję.

Co pani lubi robić, kiedy nic nie musi?

- Lubię czytać w nocy. I rano dłużej pospać, bo wtedy najlepiej śpię. Jeśli trzeba wstać, to wstaję, bo jestem zdy- scyplinowana, jeśli chodzi o pracę. Ale prywatnie - nie. Lu- bię się z kimś spotkać na kawę. W wakacje uwielbiam czy- tać kryminały. Regularnie kupuję tygodniki. Lubię oglądać horrory przed snem.

Teraz jednak zwykle oglądam „Szkło kontaktowe”, bo lubię wiedzieć, co się dzieje. Po „Szkle” zabieram się do ko- lacji. Zawsze jem przed spaniem, aktorski nawyk. Kiedy inni jedzą kolację, aktor przecież gra. Zjada dopiero póź- niej. A w nocy najlepiej się robi jajecznicę. Świetnie też wy- pić kawę. Pomaga spać.

Jeśli budzi się ze snu nad ranem, to znaczy, że koniecz- nie trzeba ją sobie zrobić, bo ciśnienie jest niskie. A od te- go ciśnienia się umiera. Kawa je świetnie podnosi i śpi się po takiej filizance jak niemowlę.

Ma pani sny?

- Mam jeden powtarzający się od dzieciństwa. Śre- dniowiecze, Paryż. Kwadratowy plac, przy tym placu ko- ściół. Drewniane, parterowe domy. Do moich drzwi jest dzwonek, to jakby sklepik. Widzę, jak idę przez plac do sie- bie, stoję na progu i myślę sobie, że trzeba pojechać do cen- trum, a ono jest daleko. Mam takie dziwne wrażenie, jak- bym tam wtedy żyła.

A myśli pani, że będzie żyć ponownie?

- Myślę sobie, że obejrzę świat po śmierci. Zobaczę to, czego nie udało mi się za życia. Byłam kiedyś na granicy śmierci, gdy mnie dusili przy napadzie na klatce schodo- wej. Straciłam przytomność. Widziałam światło. Kiedy za- częłam myśleć, coś czuć, światło się zaczęło oddalać i otwo- rzyłam oczy, skolowana.

Nie boi się już pani śmierci?

- Zawsze się człowiek boi. Boję się tego momentu, tego zrozumienia, że to już: to jest taki ogromny żal za życiem.

A co sprawia pani największą przyjemność?

- Jak mogę robić, co mi się podoba.

A czuje pani, że może?

- Jeśli akurat nie gram w teatrze.

Mogliaby pani nie grać.

- Ale nie chcę przestawać. Po prostu wciąż to lubię. Kochałam kiedyś Teatr Współczesny, mój pierwszy te- atr w Warszawie. Teraz kocham TR, uważam, że to naj- lepszy teatr w Polsce, świetny zespół, świetny reżyser. Jestem tam szczęśliwa. To jest cudowne zakończenie mojego życia - Dorota Kędzierzawska, która zrobiła ze mną swoje „Diabły” i „Pora umierać”, oraz Grzegorz Ja- rzyna, który podarował mi zupełnie inny, nowoczesny teatr. Marzyłam, żeby z nimi pracować, i mi się spełniło. Często mi się spełnia.

Na przykład przeczytałam kiedyś etykietę na krówkach: „Kirkillo-Stacewicz, Wilno, Sołtaniszki”. To było w Krako- wie przed wojną. Bardzo mnie rozbawiła i pomyślałam, że byłoby cudownie spotkać tego pana na Sołtaniszkach. Kil- ka lat później znalazłam się w Wilnie. Dużo się wtedy piło, chodząc po domach, bo czas był straszny i musieliśmy od- reagowywać nasze zmartwienia. Pewnego wieczoru zna- lazałam się w jakimś nieznanym mieszkaniu. Pytam: „U ko- go jestem?”. „U Kirkilly. Na Sołtaniszki”. Aż podskoczyłam: Jezus Maria, marzenie się spełniło. Przyznałam mu się, że od 35. roku marzyłam, żeby go poznać. Dostałam pudło krówek.

Ma pani jakieś niespełnione marzenie?

- Tylko dwa: koń na biegunach w dzieciństwie oraz ro- wer w młodości.

Tylko tyle?

- Tak.

Nie żałuje pani, że nie miała większego szczęścia do męż- czyzn?

- No trudno. To już są moje decyzje. Mogę mieć tylko do siebie pretensje. Ale, powiem pani, ja się nie nadaję do tych spraw, jestem zbyt niezależna. Dlatego też pewnie zrezy- gnowałam z walki o oba moje zawarte małżeństwa. Pomysł, że mam być do śmierci wierna, jest u mnie niemożliwy. Ktoś mi kiedyś wywróżył z kroju pisma: zmienność uczu- ciowa, zły materiał na żonę, zdolności artystyczne. Czar- no na białym. ●

***Danuta Szaflarska urodziła się 6 lutego 1915 r. we wsi Kosarzyska na Sądecku. Pierwszym etapem jej kariery był Teatr na Pohulance w Wilnie. Po II wojnie związała się ze Starym Teatrem w Krakowie i z Teatrem Kameralnym w Łodzi. W 1949 r. przeniosła się do Warszawy, gdzie grała w Teatrze Współczesnym, Narodowym i Dramatycznym. Od 2010 r. w TR Warszawa. W latach 40. zagrała główne role w filmach „Zakazane piosenki” i „Skarb”. Inne jej ważne filmy to m.in. „Ludzie z pociągu” Kutza, „Dolina Issy” Konwickiego, „Korczak” Wajdy i „Pora umierać” Kędzierzawskiej. Zmarła 19 lutego 2017 r.**

Wywiad został przeprowadzony trzy lata temu z okazji zbliżających się 100. urodzin Danuty Szaflarskiej